GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 GRUDNIA 1936 R.

Nr. 23 ROK VI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA
NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 23
1936 R.
1 — XII

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

O PLANOWANIU INWESTYCYJ

Podstawowym zagadnieniem planu inwestycyjnego jest kwestia geograficznego rozmieszczenia inwestycyj.

Temat jest bardzo aktualny, zawierający zapowiedzi emocjonujących rozgrywek politycznych w prasie, sejmie i t. p. Właśnie dlatego, przez przekorę, potraktujemy go w sposób pozbawiony aktualności, oczywiście bezpośredniej. Problem ten bowiem ma zawsze swą aktualność jako zagadnienie długofalowej polityki gospodarczej; i o tem właśnie chcemy mówić.

Polityka gospodarcza państwa ma zawsze na widoku różne cele pozagospodarcze. W zagadnieniu inwestycyj publicznych w Polsce odgrywały przez dłuższy czas przeważającą rolę względy socjalne. Ostatnio wzrasta coraz bardziej rola względów wojenno-gospodarczych. Ten objaw należy zanotować jako bardzo pozytywny, po pierwsze ze względu na doniosłość celu, a po drugie jako przeciwstawienie się jednostronności terytorialnego planowania inwestycyj według skupień bezrobotnych, co prowadziło do petryfikacji i pogłębiania wadliwej struktury geograficzno - gospodarczej, odziedziczonej po zaborcach.

Przesłanki wojenno - gospodarcze zawierają w sobie cały szereg postulatów geograficznych, narodowościowych, wewnętrzno i zewnętrzno politycznych, socjalnych oraz czysto gospodarczych. Uwzględnianie tych przesłanek w konstruowaniu planu inwestycyjnego ogromnie wzbogaca motywy kierownicze, ale to jeszcze nie wystarcza. Motywy te muszą być również uświadomione jako czynniki samodzielne, przekraczające ramy zainteresowań czysto militarnych, ale w niczem ich nie osłabiających. Nawet przeciwnie.

Mówimy dotąd o inwestycjach publicznych. Ale przecież są one tylko fragmentem w życiu i rozwoju gospodarczym Rzeczypospolitej. Jeśli zmierzamy do naprawy struktury gospodarczej, do uprzemysłowienia, do podniesienia potencjału wojenno - gospodarczego, to musimy mieć na względzie i inwestycje prywatne. Inwestycje publiczne siłą rzeczy wywierają wpływ na inwestycje prywatne. Ta współzależność musi być należycie uświadomiona, wpływy pośrednie przewidziane, wpływy bezpośrednie z góry zharmonizowane i uzgodnione. Słowem plan inwestycyjny musi być planem wszechstronnym i integralnym, żeby był skutecznym, żeby nie powodował niepotrzebnej straty sił i środków, żeby szybko prowadził do celu.

My nie jesteśmy bogaci, więc nie możemy sobie pozwalać na bezcelowe marnotrawstwo, a co ważniejsze nie możemy realizować zbyt wielu celów naraz. Stąd wypływa wymóg koncentracji wysiłków w kierunku celów najważniejszych i najpilniejszych. Słowem chodzi o ustalenie hierarchii celów.

Niewątpliwą jest rzeczą, że istnieją wielkie i nienasycone potrzeby lokalne, jak na przykład różne inwestycje samorządowe. Niemniej jednak na pierwszym miejscu należy postawić inwestycje o znacze-

niu ogólno - państwowym. Kryteria w praktyce będzie dość łatwo ustalić, jeśli się przyjmie pewne założenia ogólne. Na przykład wszystko co ma coś wspólnego z regulacją Wisły, tem samem ma znaczenie ogólno - państwowe, jak, powiedzmy, zapora wodna na Dunajcu. Założeniem jest tu, że Wisła jest stosem pacierzowym Rzeczypospolitej. Ogólno - państwowe znaczenie będzie miała również każda magistrala kolejowa, kołowa czy wodna, łącząca Kresy z ośrodkami centralnymi, a każda magistrala, łącząca między sobą ośrodki kresowe, będzie miała znaczenie lokalne, chyba iż posiada specjalną doniosłość strategiczną.

Sprawę gospodarki inwestycyjnej należy nareszcie postawić otwarcie na płaszczyźnie, która może wprawdzie spotkać się z zarzutem egoizmu narodowego, ale jest wymogiem instynktu państwowego. Paradoksem jest, że studiujemy i badamy kwestię rozwoju gospodarczego Ziem Wschodnich bez oparcia o koncepcję rozwoju gospodarczego Rzeczypospolitej, jako całości. A taka ogólna koncepcja może być zbudowana jedynie na uwzględnieniu Polski etnograficznej, jako ośrodka geograficznego, politycznego, kulturalnego i gospodarczego. Chcemy promieniować na Kresy gospodarczo. Ale przecież nie zorganizujemy ekspansji gospodarczej bez dostatecznej bazy w postaci silnie rozwiniętego przemysłu i dostatecznych ludzkich kadr. Chcemy promieniować kulturalnie, gdy w Polsce etnograficznej kwitnie analfabetyzm, a szkolnictwo powszechne nie obejmuje wszystkich dzieci. Powiedzmy sobie otwarcie: do realizacji naszych zamierzeń w dziedzinie ekspansji gospodarczej i kulturalnej nie mamy narazie dostatecznej bazy materialnej i ludzkiej — i zabierzmy się do budowania tej bazy.

Za uprzywilejowaniem w zakresie inwestycyj Polski Centralnej przemawiają wszelkie względy pozagospodarcze. Dla ścisłości należy zaznaczyć, że pod pojęciem Polski Centralnej rozumiem przede wszystkim województwa Krakowskie, Kieleckie, Lubelskie i Warszawskie, skupiające gros żywej ludzkiej siły, stanowiące ośrodek polityczny i kulturalny, oraz posiadające na swym terenie ważne ośrodki przemysłowe.

Ale nie na tem koniec. Jeśli bowiem niektóre zamierzenia odnośnie rozwoju gospodarczego Kresów są bez poprzedniej rozbudowy centralnych ośrodków Rzeczypospolitej w ogóle niewykonalne, to wiele innych, wykonalnych, będą bez tego warunku gospodarczo niecelowe. Profesor Władysław Grabski słusznie wskazał w swych artykułach w „Gospodarce Narodowej" [1]), że inwestycje rolnicze w Polsce Zachodniej i Centralnej są bardziej rentowne niż na Kresach. To samo można powiedzieć o niektórych inwestycjach kolejowych. Powiedzmy, że wysililibyśmy się na budowę kolei żelaznych na Kresach, lecz koleje te byłyby deficytowe. Dopiero w wypadku bardziej rozbudowanej sieci kolejowej w centrum i rozbudowy przemysłu, stwarzającego zapotrzebowanie na towary z Kresów oraz wysyłającego na Kresy swoje wyroby, mogą powstać warunki rentowności linij kolejowych. Zarzuca się dzisiaj, że przemysł skartelizowany hamuje rozwój uprzemysłowienia Kresów i słusznie; ale odbywa się to na podstawie niewielkiej produkcji tego przemysłu. Wzrost produkcji przemysłowej w centrum siłą rzeczy stworzyłby zapotrzebowanie na surowce i półfabrykaty kresowe, stwarzając tem warunki dla uprzemysłowienia Kresów i ułatwiłby również powstawanie na Kresach niektórych gałęzi przemysłu przetwórczego, zrozumiałem bowiem jest, że na ciasnym rynku walka o prawo do produkcji jest ostrzejsza. To samo da się powiedzieć o budowie dróg wodnych — wydatki na ten cel nie opłacą się dopóty, dopóki nie jest uregulowana Wisła, będąca zlewiskiem centralnym i dopóki nie ma danych dla większego ruchu towarowego po tych drogach. Analogiczną jest sytuacja wielkich magistrali kołowych. Ta sprawa wiąże się jeszcze z motoryzacją, która też musi być rozwiązana przede wszystkim na terenie Polski Centralnej.

Albo też postawmy sprawę jeszcze inaczej. Co to znaczy inwestować? Przecież to znaczy zużywać dużo żelaza, cementu i różnych urządzeń mechanicznych. żeby je zużywać, trzeba je przedtem wyprodukować. A przecież nie będziemy tego wszystkiego produkować na Kresach, bo nie ma tam żadnych ku temu warunków. Nasza produkcja dóbr wytwórczych jest dziś niedostateczna, trzeba ją więc rozbudować, rozbudować tam, gdzie są odpowiednie warunki gospodarcze i kulturalne, a więc w Polsce Centralnej, po uwzględnieniu zaś różnych zagadnień specyficznych można dla każdego wypadku bardziej dokładnie określić miejsce.

Dodajmy jeszcze, że w tym rejonie, który traktujemy jako centralny, panuje największe przeludnienie wsi. Jest to dodatkowy motyw socjalny, który ma też swoją stronę gospodarczą (nie ma bowiem zagadnień czysto gospodarczych i czysto socjalnych), a mianowicie zapewnia tanie ręce robocze, co jest już samo przez się zachętą dla inwestycyj prywatnych. Inwestycje publiczne w tym rejonie powinny więc iść w kierunku tworzenia dodatkowych warunków dla inicjatywy prywatnej, a więc budowy sieci dróg wszelkiego rodzaju, zapewniających tani dowóz surowca, tworzenie taniej energii (elektryfikacja), dogodnych połączeń z rynkami zbytu i centrami administracyjnymi. Z pośród inwestycyj o charakterze przemysłowym kapitał państwowy powinien być angażowany tylko w budowę obiektów szczególnie pilnych, lub w założeniu nierentownych, ale niezbędnych ze względów pozagospodarczych.

Rozbudowa przemysłu, produkującego dobra wytwórcze, a więc przemysłu w najwyższym stadium, wymagającym najwięcej wiedzy technicznej, zatrudniającym ludzi o wyższej stopie życiowej, pociąga za sobą konieczność tworzenia odpowiednich warunków życiowych w ośrodkach przemysłowych, a więc budownictwa mieszkaniowego i urządzeń komunalnych, jak kanalizacja, wodociągi i t. d. Można przy tem pomyśleć jeszcze, iż jest to rejon największego bezpieczeństwa militarnego, w którym w niepomyślnym stadium ewentualnej wojny może się skupić znaczna część centralnego oparatu państwowego, jeżeli więc coś w tym rejonie zrobi się na wyrost, to to się może kiedyś przydać. A zatem jakaś przesada w inwestowaniu tego rejonu jest najbardziej wybaczalna.

[1]) Gosp. Nar. Nr. 21/36 i 22/36.

Inwestycje drogowe i przemysłowe same przez się wpłyną na podniesienie dochodowości rolnictwa. Rosnące skupienia miejskie będą wymagały aprowizacji. Celowe się więc staną również inwestycje rolne, celowe tem bardziej, że w takich warunkach mogą się stać rentowne. I znowóż kapitał publiczny powinien zająć się przede wszystkim inwestycjami niezbędnemi ze względów pozagospodarczych a mało nęcącemi dla inicjatywy prywatnej. Sądzę, że na wielu odcinkach pole działania inicjatywy prywatnej (obejmuję tem i spółdzielczość) da się doskonale rozgraniczyć, a wówczas byłoby o jeden element niepewności w kalkulacji mniej.

Rozwój przemysłu i podnoszenie się kultury rolnej po pierwsze wymaga pewnego poziomu kultury duchowej, a po drugie popycha do jej dalszego rozwoju. Rosłoby więc, „zapotrzebowanie" na szkołę i ogólno-kształcącą i zawodową. A zatem większa koncentracja inwestycyj gospodarczych pociąga za sobą konieczność koncentracji inwestycyj kulturalnych.

I wtedy dopiero można będzie promieniować. Lecz i dla promieniowania trzeba z góry wytknąć szlaki. Dynamika rozwojowa Polski Centralnej pociągnie za sobą Kresy, które i dziś zostały np. na odcinku rolnym podciągnięte w górę, podczas gdy Polska Zachodnia nieco się cofnęła (patrz cytowany art. prof. Wł. Grabskiego). Dla psychiki człowieka jest o wiele ważniejszy kierunek dynamiki, niż stan statyczny, to też argument psychicznego związania Kresów z Państwem Polskim odpada. Wyjątkiem w pewnym zakresie musi być jednak Wileńszczyzna, która wymaga specjalnego potraktowania. Oczywiście mowy nie ma o sztucznym hamowaniu rozwoju Kresów na rzecz centrum. Takie hamowanie ma właśnie miejsce dziś (polityka kartelowa, taryfy). Wyraźnie podkreślam, że chodzi o *koncentrację inwestycyj publicznych w centrum*, natomiast na Kresach powinny być zdjęte wszelkie pęta z inicjatywy miejscowej, by mogła ona wykorzystywać koniunkturę, stwarzaną przez rozbudowę centrum. Dopiero zaś dokonana rozbudowa centrum pozwoli na wielkie inwestycje na Kresach, stworzy bowiem odpowiednie do tego środki, a przy tem może zmienić „aspekt" niektórych zagadnień. Taka np. sprawa melioracji Polesia. Dziś Pińskie błota są osłoną militarną. Ale czy w warunkach dużej motoryzacji armii ta osłona będzie dalej potrzebną, czy nie stanie się nawet do pewnego stopnia przeszkoda zwlaszcza w manewrowaniu po liniach wewnętrznych? Nie jestem specjalistą, nic więc nie twierdzę, tylko stawiam problem.

Reasumując swoje wywody podkreślam jeszcze raz, że jesteśmy biedni, więc nie możemy rozpraszać zanadto sił i środków. Dlatego w zamierzeniach rozbudowy gospodarczej musi być należycie sharmonizowana inicjatywa publiczna i prywatna. Wówczas będziemy mieli już nie tylko plan inwestycyjny, ale *plan inwestowania* Polski. Inicjatywa publiczna na skutek wiekowych zaniedbań ma w Polsce wyjątkowo szerokie zadania. Pole działania tej inicjatywy powinno być możliwie ściśle określone, by nie deptać niepotrzebnie po piętach inicjatywie prywatnej, a wtedy wszystkie siły twórcze będą mogły być wykorzystane. Interesy lokalne, nawet usprawiedliwione, muszą być odsunięte na drugi plan, pozostawione własnym siłom i środkom. Wreszcie — konsolidacja Państwa, interesy narodowe, względy natury wojskowej i kalkulacja gospodarcza zgodnie przemawiają za koncentracją inwestycyj w Polsce Centralnej.

WŁADYSŁAW GRABSKI

PLAN WSPÓŁPRACY RZĄDU, SAMORZĄDU I GOSPODARZY ROLNYCH W INWESTYCJACH WIEJSKICH

Inwestycje wiejskie wymagają współpracy rządu, samorządu i gospodarzy wiejskich. Współpraca rządu i samorządu ma swoje już ustalone normy. Zapewne, że są w nich jeszcze różne niedociągnięcia, ale życie je wciąż ulepsza. Na temat współpracy rządu i samorządu dużo się pisze, dużo się stawia postulatów. Z tej racji nie będę poruszał tych tematów w całej ich rozciągłości, wskażę natomiast na jeden ich punkt najsłabszy, a mianowicie na pominięcie zupełne wsi, gromady wiejskiej, osiedla jako czynnika organizacyjnego inwestycyj wiejskich oraz pominięcie jednostek i ich grup (spółek, związków), jako sił czynnych w sprawach inwestycyjnych i traktowanie ich jako siły bierne.

Pomijanie czynników dolnych w ruchu inwestycyjnym wiejskim ma duże ujemne skutki. W ulepszeniu dróg wiejskich rozbudowaną została bardzo użytecznie zasada stosowania szarwarku, dzięki któremu zbudowano niejedną porządną drogę. Ale po wielu wsiach słychać ciągłe narzekania: płacimy podatki drogowe, odrabiamy, lub płacimy szarwarki drogowe, ale w naszej wsi drogi są nie do przebycia, bo gmina się o nie nie troszczy. Gdy poruszyć temat czemu wieś sama nie zbuduje sobie dobrej drogi, słyszy się odpowiedź, że przecież odrabia ona już jeden szarwark gminny, więc nie może jeszcze odrabiać własnego. Tak samo niejeden właściciel majątku nie chce naprawiać drogi na swym terytorium, czekając aż szarwark gminny go wyręczy, skoro go już odrabia.

Gmina a wieś to nie to samo. Gmina nie stanowi sumy interesów wszystkich wsi, a tylko interes czynników najbardziej wpływowych w gminie. Obok gminy należy postawić wieś jako jednostkę uprawnioną do udziału w dysponowaniu środkami inwestycyjnymi. Nie tylko wieś, ale i jednostki prywatne mogą dużo zrobić, by wzmóc ruch inwestycyjny wiejski. Jeżeli kto za własne środki wybuduje drogę trwałą na swoim, a nawet na cudzym gruncie, nie dozna dziś znikąd żadnej pomocy, ani zachęty. Nie sprzyja to mnożeniu się takich przykładów. Ustawodawstwo nasze, dotyczące spółek drogowych, którego byłem jeszcze w czasach przedwojennych promotorem, stanowi jedyny wyraz przyznania grupie jednostek znaczenia w sprawach drogowych. Spółki drogowe powstają samorzutnie z trudem. Mogłyby jednak być z góry organizowane, a wtedy większą odgrywać rolę. Ale poza spółkami należy ułatwić wsiom i jednostkom inicjatywę i współpracę w rozbudowie dróg. Postawienie sprawy tak jak jest dziś, t. j., że każdemu wolno swoim kosztem naprawiać i ulepszać drogi prywatne i gminne, po których wszyscy jeżdżą, a w zamian za to dana wieś, czy dany rolnik nie ma mieć żadnych ułatwień i ulg w ponoszeniu ogólnych ciężarów drogowych — stanowi wyraz biurokratycznego ujmowania zagadnień życia gospodarczego.

Jeszcze silniej niż w sprawie drogowej takie bezduszne traktowanie inicjatywy i ofiarności poszczególnych wsi, czy osób, widzimy w sprawie budynków szkolnych. Sprawie tej poświęciłem w roku 1929 osobną pracę p. t. „Kultura wsi polskiej i nauczanie powszechne". Wyszedłem z założenia, że wsie nasze chętnie budują kościoły, plebanie, robią kosztowne ogrodzenia cmentarzy, bo robią to te wsie, które z tych urządzeń same korzystają. Natomiast nigdy cała gmina z jednej szkoły nie korzysta, a tylko grupa wsi. Dziś nikt nie zabroni grupie wsi złożyć się by postawić sobie budynek szkolny. Ale ta grupa, wysiliwszy się na to, nie zostanie zwolniona z żadnych opłat, gdy gmina zdecyduje się zbudować szkołę dla innej grupy. Ten stan rzeczy mrozi wszelką inicjatywę wsi. W pracy mojej z 1929 roku podałem wzór ustawy, która by umożliwiła grupom wsi budowanie gmachów szkolnych dla siebie swoim kosztem. Projekt ten zupełnie nie był rozpatrywany. Do dziś dnia brak należytych pomieszczeń na szkoły jest kulą u nogi rozwoju naszego szkolnictwa. Budowa gmachów szkolnych nie ruszy poważnie z miejsca, dopóki nie zostanie odebrana z rąk nauczycielstwa i władz szkolnych i włączona do spraw planu inwestycyj wiejskich. Władze szkolne nie rozumieją wsi, są nawet anty-wsiowo nastawione. Wieś to doskonale odczuwa. Na tem sprawa budowy szkół mocno cierpi.

Jak najfatalniej stoi sprawa inicjatywy prywatnej w sprawie budowy szkół powszechnych na wsi. Ofiarność prywatna przyjmowana jest z niechęcią, prawie z obrazą za wtrącanie się w nie swoje rzeczy. Ofiarność ta nie wywołuje żadnych przejawów uznania i pomocy a naraża prędzej na nieprzyjemności.

Sprawa melioracyj rolnych, głównie drenowania, forsowana w latach dobrej koniunktury przy pomocy kredytu Banku Rolnego, postawiona była na fałszywym gruncie: kredytu aż do 90% szacunku, a żadnej subwencji lub pomocy. Zbyt wysoki kredyt pchał do nieoględnego i zbyt kosztownego meliorowania. Sprawę drenowania wsi uważam za mającą pierwszorzędne w ruchu inwestycyjnym znaczenie. Drenowanie zmniejsza koszty produkcji i zwiększa pojemność produkcyjną warsztatu rolnego. Jest to rodzaj reformy rolnej, podobnie jak komasacja. Przy drenowaniu wsi powinna być udzielana pomoc rządowa tak jak przy komasacji. Plany i część kosztów odpływów (połowa) powinny być brane na koszt państwa. Nie wielkie na to potrzebne będą fundusze, a pomoc i zachęta będą wyraźne. Co do kredytu zaś, którym w latach 1915—1928 bardzo szafowano, nie powinien on przy melioracjach przekraczać 66% kosztorysów.

Drenowania pól włościańskich nie można odkładać, gdyż niewspółmierność pomiędzy folwarkami a wsiami co do tej melioracji, jest rażącą. Nawet w po-

znańskiem, tam gdzie nie ma ani jednego folwarku bez melioracji, bardzo wiele jest wsi niedrenowanych. Pomoc i zachęta, by wsie podążyły na tym polu za folwarkami jest bardzo ważną państwową sprawą agrarną.

Budownictwo ogniotrwałe na wsi jest poważnym i zasadniczym środkiem tworzenia środowisk kulturalnych. Najważniejsza rzecz to dachy ogniotrwałe. Dzisiejsza niska cena cementu powinna być pobudką do szerokiego rozpowszechniania wyrobów piaskowo-cementowych po wsiach. Na tym polu porobiono, skutkiem braku doświadczenia, wiele błędów, które spowodowały zdyskredytowanie tej inwestycji w wielu okolicach. Przy tanim cemencie i powszechnej obecności w Polsce dobrych piasków i żwirów, wyroby cementowe i betonowe powinny znaleźć na wsi jak najszersze zastosowanie. Dachówka wypalana z gliny, stanowiąca najtrwalszy materiał ogniotrwały, ma na wsi zastosowanie tylko w zaborze pruskim i części Małopolski, a w większości ziem polskich nie znajduje ona żadnych utorowanych dróg do przenikania na wieś, co obniża poziom kulturalny tej ostatniej.

Jeżeli zwracam uwagę na znaczenie dla wsi budownictwa ogniotrwałego, nie znaczy to bym nie doceniał wagi budownictwa drewnianego przy parcelacji. Gdy włościanin wejdzie na drogę dokupywania gruntu trzeba się liczyć z każdym jego groszem i wtedy najracjonalniejszym jest budownictwo najtańsze. Ale gdy gospodarstwo jest już w stadium konsolidowania się, budownictwo ogniotrwałe stanowi konieczny tego procesu czynnik.

Sprawą budownictwa ogniotrwałego na wsi czuje się zainteresowany czynnik ogólno-państwowy jakim jest powszechny Zakład Ubezpieczeń oraz samorządy powiatowe. Robiono różne próby i usiłowania, by wzmóc stosowanie ogniotrwałego krycia budynków. Ale nie było planu dobrze przemyślanego i związanego od góry aż do dołu — do samej wsi. Postęp wsi naszej w zakresie krycia ogniotrwałego dachów jest na ogół znikomo mały.

Rozpatrywaliśmy ogólnie tylko kilka czynników całokształtu zagadnień inwestycyj wiejskich. Można ich przytoczyć więcej. W prawidłowym planie inwestycyj wiejskich każdy czynnik musi być przestudiowany osobno, opracowany od podstaw ustawowych i rozwinięty terytorialnie, oraz rozłożony na okresy paroletnie. Dobry plan nie powinien zbytnio mnożyć liczby czynników inwestycyj wiejskich. Elektryfikacja wsi, która w niektórych krajach jest silnie rozwijana, może u nas poczekać na swoją kolej. Budowa spichrzów, czy elewatorów może być śmiało wyeliminowana, bo koło tej sprawy zrobiono bez porównania więcej rozgłosu niż ona na to zasługuje. W Polsce eksport zbożowy nie ma żadnej przyszłości, a elewatory mają znaczenie tylko dla eksportu. Nowych pomysłów najlepiej nie wprowadzać do planu inwestycyj, chyba w granicach minimalnych. Póki nie mamy wyregulowanych potoków górskich, obwałowanych wielkich dolin, uregulowanych rzek, podrenowanych pól, osuszonych mokradeł, zbudowanych trwałych dróg wiejskich, pokrytych ogniotrwale dachów, póki nie mamy po wsiach budynków szkolnych — póki do połowy XX wieku nie zrobimy na wsi tego, co na Zachodzie zostało zrobione już 100 lat temu, musimy bardzo oszczędzać każdy grosz na różne inwestycje mniej niezbędne, choćby najbardziej sympatyczne.

Przy planowym ustosunkowaniu się do zagadnienia inwestycyj wiejskich należy zająć stanowisko podobne do metody, którą zastosowały świeżo Włochy: metody melioracyj integralnych. Jest to metoda skoncentrowania wszystkich możliwych inwestycyj na pewnym terytorium, tak by osiągnąć duże rezultaty przebudowy podstaw życia. Włosi stosują tę metodę do tych części swego kraju, które skutkiem wadliwych warunków gleby i położenia były prawie opustoszałe. My mamy inne warunki. Tam melioracje gruntowe stają się osią planu obejmującego jednocześnie budowę dróg i osiedli ludzkich. U nas nie może być mowy o kopiowaniu ani wzorów włoskich, ani niczyich. Ale idea skoncentrowania wysiłków na określonych z góry terenach dla wywołania szybkich masowych skutków musi być wysunięta na czoło, gdyż jest to metoda, która w wielu dziedzinach bywa stosowana z powodzeniem.

Metoda skoncentrowania wysiłków inwestycyjnych na pewnych terytoriach jest najłatwiejsza wtedy, gdy rozporządzamy dużymi środkami państwowymi, dużymi zasobami sił lokalnych, sił samorządu, sił pojedyńczych wsi i poszczególnych jednostek. Włochy nie mają dużych środków, lecz mają duży entuzjazm ludności w dziedzinie stworzenia nowej kultury kraju. My też wiele środków nie posiadamy—a przy tem entuzjazmu do tego by podejmować się rzeczy trudnych własnymi środkami często nam brak. Możemy go jednak wskrzesić. Musimy tylko zaprzestać metody urzędowego wywoływania go wszędzie po trochu na miarę z góry określoną. Musimy wybrać środowiska duchowo do śmiałych poczynań najzdolniejsze i najbardziej przygotowane do większych ofiar na rzecz dobra pewnej większej całości, z którą czują się zsolidaryzowani, całości im bliskiej i widocznej. Mieliśmy już pewien regionalizm. Myśl nie była zła. Ale wykonanie było zbyt schematyczne. Regionalizm miał być czynnikiem powszechnej łączności pomiędzy siłami lokalnemi a państwowemi. Ale nie szło wtedy o to by wspólnemi siłami czegoś dokonać, a tylko by omawiać sprawy lokalne.

Ruch inwestycyjny nie może być tematem próżnych rozważań, a stać się powinien wdrożeniem społeczeństwa do czynów twórczych na polu kultury materialnej. Planowość w tym ruchu powinna polegać na tem, by czyny te były dokonywane pod kątem największej ich doniosłości dla najszerszych warstw społeczeństwa i dla największej wagi spraw ogólno - państwowych.

Inwestycje wiejskie są w Polsce taką wielkiej wagi sprawą państwową, dotyczącą najszerszych mas. Myśl i duch rolników doznał w ostatnich miesiącach pokrzepiającej dawki zwyżki cen rolniczych. Z tego należy bez zwłoki skorzystać dla opracowania szczegółowego planu przeprowadzenia w najbliższych latach masowego ruchu inwestycyjnego na wsi polskiej.

U W A G I

POŻYCZKA FRANCUSKA

Mało jeszcze bardzo wiadomo o szczegółach operacji kredytowej, jaka doszła do skutku w ostatnich dniach listopada w Paryżu, a tyczy się francuskiej pomocy kredytowej dla Polski. Z tych przyczyn komentarze na ten temat muszą być w tej chwili z konieczności ogólnikowe. Że jest to w każdym razie fakt dodatni — nawet bardzo dodatni — o tem nie sposób wątpić. Że korzyść jego jest specjalnie wielka w obecnym momencie, kiedy nasza sytuacja zarówno polityczna jak i gospodarcza takiego zastrzyku specjalnie potrzebuje, również nie da się zaprzeczyć. Odkładamy na bok wszelkie polityczne rozważania związane z tym kredytem, a więc zarówno przyczyny jego dojścia do skutku (prawdziwie gospodarczej tranzakcji kredytowej rynek francuski nie może w tej chwili wziąć na swe barki, a zresztą i gdzieindziej wywóz kapitałów do krajów dłużniczych a nie będących koloniami należy do wyjątków, gdyż nie ma jeszcze warunków na wznowienie międzynarodowego obrotu kapitałowego), jak i cele jego zużycia. Pomówmy wyłącznie o czysto gospodarczej stronie zagadnienia.

Zastrzyk pół miliarda złotych — nawet, jeśli odbędzie się częściowo w towarach, a więc nie odpowie analogicznej sumie transferowanych do Polski dewiz, jest dla nas w chwili obecnej specjalnie cenny zarówno z uwagi na konkretne nasze trudności dewizowe, które wprawdzie nie są katastrofalne ale ciągle jeszcze bardzo dokuczliwe, jak i — w szczególności — z uwagi na moment koniunkturalny, jaki w tej chwili przechodzi nasze gospodarstwo. Nie ulega, mianowicie, wątpliwości, iż istnieje pewna zasadnicza sprzeczność pomiędzy niewątpliwym rozwojem naszej wewnętrznej koniunktury a stanem warunków międzynarodowych, na których tle się ona rozwija. Tło to nie jest dla nas obojętne, albowiem stosujemy nasze ograniczenia dewizowe tak, aby nie odrywać się całkowicie od obrotu międzynarodowego i nie zamykać się na wzór Niemiec np. w pełnej nieomal autarkii. Z tych przyczyn ograniczenia dewizowe mogą tylko *osłabiać* wpływ koniunktury światowej na naszą koniunkturę wewnętrzną ale *likwidować* wpływu tego nie mogą. I stąd właśnie powstaje owa znamienna dysproporcja pomiędzy naszym rozwojem koniunkturalnym na wewnątrz a brakiem odpowiednich fundamentów dla rozwoju tego na świecie. Podkreślaliśmy już nieraz, iż, teoretycznie biorąc, poprawa w Polsce powinna nastąpić *po poprawie* w krajach wierzycielskich i po wznowieniu międzynarodowego obiegu kapitałów. Fakt ten pozostaje prawdziwy zarówno przy obecnej polityce walutowej jak i przy ewentualnej dewaluacji złotego i dlatego, zdaniem naszym, mylne są nadzieje tych, którzy od obniżenia waluty oczekiwaliby w Polsce jakiegoś zwiększenia tempa poprawy gospodarczej. Fakt jednak, że „powinniśmy" żeglować na pełnych fluktach światowej koniunktury, nie zmieni rzeczywistości, która daje nam koniunkturę wewnętrzną w chwili, kiedy flukty międzynarodowe zagarnąć nas nie mogą. Prowadząc politykę deflacji „à outrance", odczekiwalibyśmy momentu przypływu tych dobroczynnych fal, ale chwilowo musielibyśmy tłumić koniunkturę. Jest to w naszych warunkach wynędznienia wieloletniego polityka nie do przeprowadzenia. Dlatego też pod ochroną ograniczeń dewizowych, zabezpieczających nas przed niespodziankami, mogliśmy przynajmniej osiągnąć tyle, żeby, nie popierając wyraźnie rozwoju koniunkturalnego, nie stawiać mu przynajmniej tamy. Jeśli teraz przychodzi *z zewnątrz* czynnik, który rozszerzy pod tym względem nasze możliwości, dysproporcja celów i możliwości ożywienia koniunktury w kraju powinna się znakomicie zmniejszyć.

Inna rzecz, że — jak mówimy na innym miejscu — pożyczka powinna być w obecnym stadium rozwoju koniunkturalnego używana szczególnie ostrożnie. Niewolno, mianowicie, aby zastrzyk ten podziałał *zbyt stymulująco na ceny*. Albowiem ciągle powtarzamy, iż nie znajdujemy się jeszcze w tej fazie ożywienia międzynarodowego, gdzie kwestia poziomu cen staje się drugorzędna, jako że regulowana jest automatycznie przez kształtowanie się bilansu płatniczego. Fakt, że z przyczyn pozagospodarczych mamy znacznie i szczęśliwie ułatwiony problem przebrnięcia przez delikatny moment naszej koniunktury, nie powinien nam zamykać oczu, iż mimo pomocy tej moment jest nadal delikatny.

j. z.

SPRAWA NAMIASTEK

Sprawa namiastek należy do tych problemów, które wywołują szczególnie niechętną odruchową reakcję ekonomistów wychowanych w doktrynie klasycznej. Nic w tem nie ma dziwnego. W gospodarce namiastkowej, w użyciu surowców czy półfabrykatów zastępczych, zawsze prawie kryje się podrożenie towaru czy to w formie bezpośredniej czy też w postaci pogarszania jakości, co nieraz — zwłaszcza przy produkcji dóbr wytwórczych — może okazać się obciążeniem gospodarczym niepomiernie dotkliwszym nawet od jawnej podwyżki ceny. Oczywiście że pogarszanie jakości w tym zakresie, t. zn. w dziedzinie dóbr wytwórczych, nie obciąża bieżąco, w danej chwili, wychodzi jednak na jaw z czasem, przy wcześniejszym zużyciu danego przedmiotu. Jest to zatem niejako obciążenie dzisiejszego konsumenta namiastek lub produktów wytwarzanych z namiastek, z równoczesnym zaciągnięciem przezeń kredytu (u samego siebie), kredytu płatnego w chwili przedwczesnego zużycia przedmiotu. Rzecz prosta, że sztuczne potanienie namiastek w drodze ulg podatkowych, taryf kolejowych itp. również nie usuwa faktu dodatkowego obciążenia konsumenta, a jedynie przerzuca ciężar tego obciążenia z konsumentów danego towaru na ogół konsumentów wzgl. ogół płatników podatkowych. (Oczywiście o ile dana ulga wykracza poza normalnie stosowany zakres). Słowem zawsze niemal słowa „gospodarka namiastkowa" są synonimami obciążenia konsumcji, zmniejszenia porcji dóbr jakie konsument za daną cenę otrzymuje.

Czy wolno stąd jednak wyprowadzić wnioski, że tendencje ku sztucznemu rozwijaniu gospodarki na-

miastkowej, jakie się dziś pojawiają, są błędem? Czy np. w dążeniach do zwiększenia zużycia surowców krajowych mamy się dopatrywać nowego „wymysłu” biurokracji gospodarczej, nowej postaci „demagogii” gospodarczej, nowego środka odcięcia Polski od związków z gospodarką światową, nowego obciążenia konsumcji dla mirażu niezależności gospodarczej od zagranicy... przy nędzarskim sposobie życia? Czy len, sztuczne włókno, krajowa ruda, są symbolami cofania się czy postępu w gospodarce polskiej? Podkreślam, że chodzi mi tu o odpowiedź abstrahującą od zagadnień takich, jak dajmy na to samowystarczalność na wypadek wojny lub też kwestia podziału dochodu społecznego pomiędzy poszczególne odłamy gospodarki, a w szczególności pomiędzy rolnictwo z jednej, a miasta z drugiej strony. Abstrahuję od tych spraw, ponieważ sądzę, że podstawowe obiekcje w odniesieniu do gospodarki namiastkowej oparte są na nieporozumieniu, mówiąc ściślej na niezrozumieniu klasycznej tezy polityczno - ekonomicznej, tezy wybudowanej na pewnych ogólnych przesłankach, a więc słusznej bez modyfikacji tylko wtedy kiedy sprawdzają się te przesłanki.

Pogląd, iż zastępowanie produktu importowanego droższym produktem krajowym stanowi obciążenie gospodarstwa społecznego, słuszny jest wtedy, gdy na całym odcinku wymiany międzynarodowej stosowane są proste zasady liberalizmu, kiedy nie zachodzą przyczyny zmuszające do rozróżnienia ceny w dewizach od ceny w walucie danego kraju. Przy nieskrępowanym wywozie, wywozie który nie potrzebuje ulg, premij itd., przy bilansie płatniczym regulującym się automatycznie przez swobodny nieskrępowany ruch kapitałów, z pewnością gospodarka namiastkowa jest obciążeniem i z pewnością też dla uzasadnienia jej trzeba byłoby motywów specjalnych, takich jak obrona narodowa, interesy regionalne itp. itp. Z chwilą jednak, kiedy stan faktyczny przedstawia się biegunowo odmiennie, kiedy obroty światowe — czy to towarowe czy też kapitałowe — dalekie są od swobody, z chwilą kiedy Polska należy do krajów, które szczególnie dotkliwie wyczuwają światowe „entraves au commerce” — sprawa gospodarki namiastkowej przedstawia się zupełnie inaczej. Nie można stosować dwóch miar. Jeśli uznaje się za dopuszczalne obciążenie konsumcji dla zdobycia walut, to musi się uznać za również dopuszczalne tak samo obciążenie konsumcji dla zaoszczędzenia walut. Jest to zupełnie taka sama ofiara. Czy można to uznać za zaprzeczenie tezy, iż gospodarka namiastkowa nie podraża towarów w kraju? Tak jest, pod warunkiem, że miara obciążeń na rzecz gospodarki namiastkowej jest nie wyższa od przeciętnej miary obciążeń na rzecz zdobywania walut. Niewątpliwie wymaga to subtelniejszego ujęcia cyfrowego, ale z grubsza można byłoby powiedzieć, że gdybyśmy mogli w drodze obciążenia konsumcji 10-ma tysiącami złotych uzyskać taką oszczędność dewizową, która pozwoliłaby nam zaniechać forsowanie wywozu, pociągającego za sobą obciążenie konsumenta w skali dajmy na to 20-u tysięcy złotych — to bez wątpienia gospodarka namiastkowa byłaby środkiem obniżającym przeciętny poziom cen. I tu dochodzimy do sedna rzeczy. Ta grupa towarów, w zakresie której zastosowana zostanie gospodarka namiastkowa, może naskutek tego podrożeć. Potanieją natomiast inne, które obciążone były dotychczas w związku z forsowaniem eksportu. Wynik ocenić można tylko na podstawie zmiany w przeciętnym poziomie cen.

Słuszność tego rozumowania występuje ze specjalną plastyką w okresie reglamentacji towarowej czy dewizowej. Więcej nawet, w warunkach ostrej reglamentacji efekt gospodarki namiastkowej może być pełny jedno-kierunkowy, t.zn. rozwój produkcji zastępczych surowców może dawać nie tylko obniżkę przeciętnego poziomu cen, ale nawet obniżkę w danej grupie towarowej. Zachodzi to wtedy, kiedy naskutek reglamentacji powstała silna renta kontyngentowa, t.zn. wtedy, kiedy wobec szczupłości kontyngentów importowych na dany surowiec, dana grupa przetwórców surowca zagranicznego ma możność utrzymywania cen wyrobu gotowego znacznie powyżej poziomu, wynikającego z t.zw. godziwej kalkulacji. W tym wypadku dodatkowa podaż produktów namiastkowych nawet droższych od cen światowych, byle tylko tańszych od ceny światowej plus renta kontyngentowa, może wzmóc nasilenie konkurencji na rynku i poziom renty kontyngentowej obniżyć. Szczegółowsza obserwacja sytuacji wytwarzającej się na tle reglamentacji towarowej i dewizowej wskazuje wyraźnie, że właśnie skutkiem tego, iż nie przystąpiliśmy w Polsce dostatecznie wcześnie do organizowania gospodarki namiastkowej, nie posiadamy dzisiaj środków do łagodzenia skutków nieuchronnych cięć w zakresie importu najważniejszych surowców. Czy można jednak na tej podstawie wnioskować, iż na dłuższy dystans możliwości i rola gospodarki namiastkowej w Polsce pozostaną niezmienione? Wydaje się, że tak. Najostrzejsze formy ograniczeń międzynarodowego obrotu kapitałowego i towarowego mogą zniknąć, obawiać się jednak należy, że ta porcja jaka pozostanie na większy okres czasu będzie dość poważna. W tych warunkach kraj dłużniczy, kraj forsujący uprzemysłowienie, będzie stale stał w obliczu grozy załamania się bilansu handlowego, bez możności łatania operacjami kredytowemi dostatecznej miary. To też niewątpliwie t.zw. troska o bilans handlowy w Polsce bardziej niż w innych krajach posiada charakter troski stałej. Jeśli zaś ze względu na kształtowanie się bilansu mamy przewidywać konieczność pewnych skrępowań dla obrotu zagranicznego jako skrępowań stałych, to bez wątpienia musimy sobie postawić zadanie, ażeby ograniczenia te obok charakteru negatywnego posiadały i pewną wartość twórczą. By nie tylko zmniejszały przywóz, lecz zwiększały produkcję. Wydaje się, że ostatnie lat kilka jest tego dowodem, iż największym błędem jest pocieszanie się, że trudności mogą minąć i prowadzenie przez dłuższy okres polityki dewizowej i reglamentacyjnej liberalnej ponad miarę możliwości. Konsekwencją tego jest potem konieczność tem ostrzejszych ograniczeń. Ażeby uniknąć podobnych sytuacji musimy sobie zdać sprawę z naszych długofalowych możliwości zdobywania sobie miejsca w obrotach międzynarodowych, przy czem jak sądzę — z trzeźwej oceny tej dziedziny wyniknąć musi pogląd, iż pełne zaspakajanie potrzeb importowych możliwe nie będzie. W tych warunkach można suponować, że gospodarka na-

miastkowa trwale odgrywać będzie rolę pokrewną do tej, jaką przypisywać jej musimy w chwili obecnej.

I jeszcze jedno na zakończenie. Protekcjonizm w dziedzinie wyrobów gotowych utarł się na tyle, iż budzi dziś zastrzeżenia tylko wśród stuprocentowych ortodoksów klasycyzmu. Gospodarka namiastkowa nie jest czymś lepszym od protekcjonizmu przemysłowego. Przede wszystkim dlatego, że skutkiem oddziaływania szeregu ubocznych czynników takich, jak np. szczupłość rynków na niektóre wyroby gotowe, nie pozwalająca na seryjną produkcję itp. itp., marża pomiędzy cenami produktów gotowych chronionych celnie a cenami światowemi tych artykułów, jest częstokroć znacznie większa od marży pomiędzy cenami namiastek krajowych a cenami importowanych surowców lub półfabrykatów. Po drugie zaś dlatego, że w dzisiejszej strukturze handlowej rynku światowego i przy strukturze naszego wywozu za import wyrobów gotowych prawie zawsze możemy płacić wywozem, za import zaś surowców — prawie nigdy.

a. u.

DOBRY POCZĄTEK

Minęło zaledwie dwa miesiące od ostatniego wstrząsu walutowego w Europie zachodniej, a już chyba wszyscy ci, którzy pod pierwszym wrażeniem spadku franka francuskiego chcieli na oślep „aliniować" kurs złotego do poziomu cen światowych, muszą stwierdzić, jak mylne były ich ówczesne twierdzenia i obawy.

Ceny we wszystkich krajach, które ostatnio zdewaluowały, poszły bardzo silnie w górę. Nie będzie przesadą, jeśli stwierdzimy, iż dziś po dwóch miesiącach od dewaluacji franka francuskiego niewiele już pozostało z marży dewaluacyjnej, jaką ta manipulacja stworzyła dla gospodarstwa Francji. Za kilka tygodni i te resztki będą skonsumowane dalszą zwyżką cen. W Holandii, Szwajcarii — ba, nawet we Włoszech odbywa się toż samo, aczkolwiek już w wolniejszym tempie. Nie o tempo jednak chodzi. Okazuje się, iż w gruncie rzeczy dewaluacja, *dokonana w okresie zwyżki cen* na kuli ziemskiej, nie może dać pożądanych rezultatów w sensie obniżenia wewnętrznych cen w złocie na danym rynku. Dewaluacja brytyjska udała się przede wszystkim dlatego, że odbywała się w okresie spadku cen światowych. Toż samo możnaby powiedzieć o amerykańskiej i belgijskiej. W 1936 r. na jakąkolwiek dewaluację o celach gospodarczych ustalonych z góry jest już stanowczo za późno.

Polska słusznie została powstrzymana od zrobienia wielkiej nieroztropności, która zresztą, z punktu widzenia wewnętrznego, byłaby czemś o wiele od zwykłej nieroztropności gorszym. Ale to jest dopiero początek. Jeśli okazuje się, że dewaluacja innych *nie pogorszyła* naszego położenia wobec zagranicy (oczywiście — przede wszystkim pod względem eksportowym), to jednak pozostaje nadal faktem, iż nasz poziom cen jest od „światowego" (powiedzmy — upraszczając nieco — od angielskiego) poziomu jeszcze ciągle nieco wyższy. Angielski poziom cen papierowych (i w złocie, bo funt nie zmienia od dłuższego czasu swego kursu zasadniczego) wzrasta chwilowo jeszcze szybciej od naszego. W tej chwili, innymi słowy, na papierze rozpiętość pomiędzy naszym i angielskim poziomem cen się zmniejsza. Ale jednocześnie tu i ówdzie zaczyna się i u nas pewien wzrost cen. I tutaj następuje drugi akt naszej doraźnej polityki koniunkturalnej na najbliższą przyszłość: hamowanie tego wzrostu możliwie najwydatniej i najdłużej.

Albowiem i Anglia i Belgia (nie mówimy tu o USA, które zawsze stanowią ein Kapitel für sich...) miały w swej dewaluacji nie tylko ten plus, iż przeprowadzały ją w okresie zniżki cen, ułatwiającej im utrzymanie nowego obniżonego poziomu cen w złocie, ale — co więcej — oddziaływały na ten poziom cen drogami polityki wewnętrzno-gospodarczej. Krótko mówiąc, prowadziły sui generis politykę deflacyjną. Mimo dewaluacji — i niezależnie od dewaluacji.

Polska deflacji prowadzić dziś sensu stricto nie może i nie powinna. Ale nie idzie za tem, aby wpadać w drugą ostateczność. Ceny polskie będą wzrastały, bo rosną ceny światowe. Chodzi jednak o to, aby nasz poziom cen wzrastał *wolniej* od cen światowych. Wskazaliśmy, iż dotychczas tak się dzieje. Chodzi o to, aby tak pozostawało nadal. I dlatego po dobrym początku wstrzymania się od nieopatrznego małpiarstwa dewaluacyjnego powinna utrzymać dalszą linię polityki gospodarczej niezmienioną. Ceny światowe muszą mieć możność „dogonienia" nas. Trzeba, idąc nawet naprzód, trochę się powstrzymywać, aby na nie poczekać.

Nie jest to rzeczą łatwą. Naciski ze strony wszystkich lekkomyślnych są i będą nadal duże. Ale obroniono się już przed równie nieodpowiedzialnymi naciskami przed dwoma miesiącami z racji dewaluacji — i napewno się będzie można obronić przed nimi i obecnie. Po dobrym początku utrzymanie równowagi pomiędzy koniecznością niedławienia wewnętrznej koniunktury i równie silną niezbędnością nieprzeholowania chwilowo w jej rozwoju — będzie doskonałym dalszym ciągiem. Ten dalszy ciąg zmieni się w pewnej chwili w *pełny* nawrót koniunkturalny, gdy wzrost światowej koniunktury zacznie „wynosić nas do góry". Wówczas to nastąpi zakończenie — w postaci ostatecznego wyżycia się kryzysu koniunkturalnego, gnębiącego nas od lat sześciu.

a. w.

ELASTYCZNE OPROCENTOWANIE

Człowiek cywilizowany różni się tem m. inn. od dzikusa, że potrafi przeciwdziałać ponoszonemu ryzyku prewencyjnie, podczas gdy dzikus myśli o usunięciu lub osłabieniu skutków realizacji ryzyka dopiero wtedy, gdy ryzyko już się zrealizowało. Wyżej sformułowanego „kryterium" nie radzimy zresztą stosować czytelnikowi do konkretnych sytuacyj i osób, gdyż wnioski w ten sposób otrzymane byłyby zwykle zbyt... drastyczne.

Falowanie koniunktury gospodarczej jest zjawiskiem powszechnie znanym. Można łagodzić wahania koniunkturalne, można w pewnych sytuacjach nakręcać koniunkturę. Ponadto marzyć można o „regulowanej *prosperity*", ale niesposób na serio uwierzyć w możliwość usunięcia cykliczności koniunktury z

rzeczywistego życia gospodarczego. Każdy podmiot gospodarujący pozostaje w okresie koniunktury wysokiej pod ryzykiem załamania koniunkturalnego i powinien się w granicach możliwości przed tym ryzykiem zabezpieczać.

W okresach wysokiej koniunktury obserwujemy nieraz ożywioną działalność emisyjną w dziedzinie długoterminowego kredytu emisyjnego. Poziom obsługi długu emisyjnego dostosowany jest z jednej strony do stopy oprocentowania na rynku kapitałów — i do możliwości płatniczych dłużnika w czasie dobrej koniunktury z drugiej strony. Potem przychodzi załamanie, dłużnik ugina się pod ciężarem nadmiernej już obsługi długu emisyjnego. Cóż z tego, jeżeli nawet stopa rynkowa spada, kiedy nie łatwo znaleźć tego trzeciego z gotówką, który umożliwiłby przeprowadzenie klasycznej konwersji, na wzajemnym porozumieniu wierzyciela i dłużnika opartej. W końcu *nolens volens* wkracza państwo i przeprowadza konwersję przymusową, do której niejednokrotnie skarb państwa musi coś niecoś dołożyć dla ratowania zagrożonego zaufania.

Sytuacja, którą naszkicowaliśmy wyżej, jak czytelnikowi dobrze wiadomo, pozbawiona zgoła pierwiastka fantastyczności, może właśnie stanowić przykład jaskrawy zupełnego niezabezpieczenia się przed ryzykiem. Dłużnik znajdował się pod ryzykiem skurczenia własnych obrotów już w chwili zaciągania długu, jednak nie widział on (ani bank, który obligacje emitował) tego ryzyka. Konsekwencje tej krótkowzroczności były bardzo przykre i co najgorsza sięgają daleko w przyszłość. Konwersja przymusowa przychodzi z reguły zbyt późno dla dłużnika, ponadto (sformułujmy to łagodnie) nie wzmacnia ona zaufania lokatora do obligacyj i to nie tylko tych, które się w obiegu znajdują, ale i do tych nawet, które w przyszłości dopiero mają być emitowane.

Cała sprawa przedstawiałaby się inaczej, gdyby bank, emitujący obligacje, był nieco mniej konserwatywny. Zamiast stosować klasyczną formę obligacyj o sztywnym oprocentowaniu można emitować obligacje bardziej nowoczesnego typu (na wzór np. obligacyj Citroëna z 1927 r.). Chodzi tu o papier, który by zapewniał:

1) minimalne odsetki sztywne,

2) dodatkowe odsetki elastyczne, w wysokości ustalanej w sposób obiektywny, np. w zależności od obrotów dłużnika.

Można sobie również wyobrazić uelastyczniony system umarzania obligacyj, nie będziemy jednak tutaj tej czysto technicznej sprawy obszerniej omawiali.

Przy zastosowaniu uelastycznionego kredytu emisyjnego poziom obsługi długów dostosowywałby się niemal automatycznie do możliwości dłużnika, konwersje przymusowe stałyby się rzadkością, przy tem na dłuższy dystans i posiadacz obligacyj byłby sprawiedliwiej traktowany niż obecnie, działanie konwersji przymusowej jest bowiem trwałe i pozbawia lokatora części dochodu z papierów nie tylko w okresie niskiej koniunktury, w którym konwersja jest zastosowana, ale i na dalszą przyszłość, choćby nastąpić w niej miała radykalna poprawa sytuacji dłużnika. Przy zastosowaniu systemu kredytu uelastycznionego nastąpiłoby bardziej racjonalne i zautomatyzowane powiązanie sytuacyj wierzyciela i dłużnika, ich dochód wzrastałby i opadał niemal równocześnie.

H. Pniewski.

UCZUCIE I ROZUM

Kryzys był nie tylko depresją ekonomiczną. Był także depresją psychiczną. Stan depresji psychicznej społeczeństwa w okresie kryzysu miał swą dodatnią stronę, ułatwiał bowiem rządom prowadzenie polityki „zaciskania pasa", stosowanie wszelkiego rodzaju niezbędnych ograniczeń i restrykcyj. Polityka ta, aczkolwiek połączona z przykremi ofiarami jednostek i grup była zrozumiała dla społeczeństwa nawet bez rozumowania, zgadzała się bowiem w zupełności z nastrojami pewnego przygnębienia i niewiary, że w danych warunkach mogłoby być lepiej.

Poprawa koniunktury radykalnie zmieniła sytuację. Kierunek krzywej koniunkturalnej w górę dodaje ludziom nadziei na możność zrealizowania swych pragnień i zaspakajania swych potrzeb w stopniu znacznie większym, niż by to było usprawiedliwione stopniem poprawy i realnemi możliwościami. Ten stan rzeczy sprawia, że rządzenie w czasie poprawy koniunktury jest trudniejsze. Jest bowiem strasznie trudno przekonać ludzi o dysproporcji między ich nadziejami i realnie istniejącemi możliwościami, a także co do tego, że na wszystko potrzeba czasu. Wiadomo, że argumenty rozumowe strasznie trudno trafiają do przekonania w wypadku niezgody rozumu z uczuciem. To też apetyty w okresie poprawy rosną, każdy widzi możliwość skorzystania na tej poprawie, a nie zajmuje się obliczeniem, czy starczy możności zaspokojenia wszystkich apetytów.

Weźmy taką kwestię, jak ograniczenia dewizowe. Poprawa wewnętrznej koniunktury rozszerza możność zbytu, na imporcie można więcej zarabiać, między największemi potęgami finansowemi doszło do porozumienia w sprawach walutowych. Więc pada hasło: rozluźnić ograniczenia dewizowe. Ale rachunek z ołówkiem w ręku, do którego nie są zmuszeni ci, co stawiają tylko żądania, nasuwa cokolwiek inne wnioski. Tak, koniunktura rośnie, wzrasta więc popyt na towary importowane, między innymi na surowce przemysłowe. A dewiz jest mało, za mało na pokrycie wszystkich zgłoszeń importowych. I wtedy powstaje kwestia decyzji, czy cały import traktować jako niezbędny. Mając na względzie dążenie do uprzemysłowienia, zwiększenia zatrudnienia i t. d. i t. d. nasuwa się decyzja niesporna chyba dla każdego, ktoby decydował z poczuciem odpowiedzialności za swą decyzję, że należy zaostrzyć ograniczenia w stosunku do importu konsumcyjnego nie niezbędnego w celu pełnego pokrywania potrzeb w zakresie importu surowca. Oczywiście, że pokrzywdzeni tą decyzją i zawiedzeni w swych nadziejach będą skarżyć się. Możemy im nawet wyrazić swe współczucie, bo nie jesteśmy złośliwi. Ale jeżeli zaczną krzyczeć, że dzieje się krzywda dla Narodu i Państwa, to pozostanie tylko skrzywić się z niesmakiem.

Albo kwestia dewaluacji. Kwestia była rozważana rozumowo ze wszystkich stron. Aż nie chce się powtarzać wszystkich argumentów przeciw dewaluacji, tyle ich było i tak przekonywujących, jeśli stać na stanowisku interesów całości gospodarstwa narodowego. A jednak były głosy domagające się dewaluacji w imieniu jakoby interesów ogólnych, głosy apodyktyczne, operujące dogmatami bez próby rachunku. Prawda, że tutaj rachunek szczegółowy jest niemożliwy, że operuje się tylko przybliżeniem i wyczuciem momentów psychologicznych. Ale prawda również, że jeszcze trudniej jest udowodnić rachunkowo, iż oddłużenie przez dewaluację majątków ziemskich jest ważniejsze dla Narodu i Państwa, niż zagadnienie przesunięć w dochodzie społecznym, jakie miałyby miejsce w wypadku dewaluacji i niż zagadnienie zaufania obywateli do polityki pieniężnej Państwa.

Wreszcie kwestia cen. Naturalną jest rzeczą, że ceny w okresie poprawy koniunktury mają tendencję zwyżkującą. Zainteresowani bezpośrednio chcieliby widzieć tę zwyżkę jak największą i jak najszybszą. Mają za sobą tak ważkie argumenty, jak konieczność odbudowy zdewastowanych często przez kryzys warsztatów pracy, dokonywanie nowych inwestycyj i t. d. Na przeszkodzie stoją różne inne argumenty. Nie mam zamiaru omawiać w tych uwagach samej kwestii. Chcę tylko wskazać na to, że w tej sprawie jest dość łatwo zrobić trzeźwy rachunek.

W ogóle jest dość łatwo rozmawiać w gronie, które choć ma rozbieżne interesy, ale stosuje podobne metody rozumowania i używa tych samych określeń rzeczywistości. Bo można zasiadać w tych samych radach nadzorczych, a myśleć zupełnie innemi kategoriami. Weźmy na przykład wypowiedzi „Czasu" o dewaluacji a potem przeczytajmy artykuł na ten sam temat w „Przeglądzie Gospodarczym", artykuł rzeczowy, ostrożny, kalkulujący, oglądający każdy argument pod światło ze wszystkich stron. Kontrast wrażeń sprawia po prostu przyjemność. Bo panowie z „Czasu" uważają abstrakcyjne i teoretyczne pierwiastki myślowe za bolszewizm. A przecież abstrakcje, to są skróty myślowe, odpowiadające pewnym rzeczywistym zjawiskom, a teorie to skrócone wytłumaczenia skomplikowanych procesów. Jedno i drugie nie zastąpi wprawdzie znajomości rzeczywistości, ale bez abstrakcji i teorii nie podobna jest bujnej, bogatej i skomplikowanej rzeczywistości ani ująć, ani zrozumieć, ani nią rządzić. Nie podobna nawet o tej rzeczywistości ze sobą rozmawiać.

z. h.

WITOLD PTASZYŃSKI

ORIENTACJA EKONOMICZNA TURYSTYKI

Od czasu Powszechnej Wystawy Krajowej na odcinku turystycznym można obserwować coraz większą aktywność i zwłaszcza coraz większe zainteresowanie dla gospodarczych walorów turystyki. Należy to przypisać niewątpliwie także i nastrojom kryzysowym: w obliczu deprymującej psychicznie polityki deflacyjnej — dawano ujście aktywnym porywom gospodarczym choćby w postaci turystyki. Abstrahując od zasad deflacyjnych — możnaby nawet uznać celowość gospodarczą rozwoju turystyki w okresie depresji jako sposobu pobudzania obrotów. Dziś jednak koniunkturalnie jesteśmy już wyraźnie w fali wzrastającej — a mimo to nasze zainteresowania i inicjatywa turystyczna — nie wahałbym się nawet użyć wyrazu: nasza psychoza turystyczna — nadal czyni postępy, wzbudzając zachwyt wielu półekonomistów i ekonomistów... dla niezwykłych możliwości gospodarczych turystyki. Zachwyt prasy i oficjalnych deklaracyj (por. ostatnią dyskusję budżetową nad budżetem Ministerstwa Komunikacji) przeniknął do społeczeństwa, doskonale już obznajmionego z systemem zniżek, zbiorowych wyjazdów, pociągów narciarskich i innych udogodnień i okazyj podsuwanych turyście przy pomocy rozległego aparatu propagandowego. Przeświadczenie o potrzebie rozbudowy *wszelkich* urządzeń turystycznych oraz o potrzebie szerokiej propagandy, zmierzającej do coraz silniejszego ożywienia ruchu turystycznego, zdaje się obecnie nie budzić żadnych zastrzeżeń, a przeciwnie staje się cząstką naszej polityki gospodarczej. Oto co np. w ostatnich dniach (10 ub. m.) dowiadujemy się z jednego z pism codziennych: krakowska dyrekcja P. K. P. „po uruchomieniu pierwszych w Polsce pociągów popularnych, następnie „pociągów w nieznane", bridżowych, raidowo-narciarskich ze specjalnymi brankardami na narty, obecnie wspólnie z Ligą Popierania Turystyki uruchomiła próbny wagon kinowy (sic! nasz dopisek), specjalnie wykonany w warsztatach kolejowych w Krakowie - Płaszowie, który odbył pierwszą podróż z Krakowa do Makowa z przedstawicielami władz kolejowych, wojskowych, samorządowych, prasy i turystyki". Dalecy jesteśmy od zasadniczej krytyki inicjatywy krakowskiej dyrekcji P. K. P., a przytaczamy tę wiadomość jako signum temporis.

Polityka gospodarcza powinna wyraźnie ustosunkować się do zagadnienia turystycznego póki jeszcze twórcza inicjatywa poszczególnych działów administracji nie przekroczyła tych granic, poza któremi inicjatywa taką przekształca się na marnotrawstwo... A w kraju, który ma kilka milionów ludzi „niepo-

trzebnych" nie wolno marnować nawet stosunkowo niewielkich zasobów kapitałowych.

Wadliwa, szczególnie w powojennym okresie, budowa międzynarodowych stosunków gospodarczych sprawia, że turystyka krajowa, którą uprawiają u nas cudzoziemcy wpływa gospodarczo zupełnie odmiennie od turystyki krajowej, praktykowanej przez mieszkańców naszego kraju. Przyjazd turystów zagranicznych oznacza dla kraju zwiększenie możliwości wymiany towarów i usług z zagranicą, co — wobec nieodzownej konieczności tej wymiany w ogóle — jest nader pożądane i korzystne. Import turystów jest przeto dla Polski doskonałą namiastką eksportu towarów, posiadając nawet znaczną wyższość pozagospodarczą. Zbędne jest już zatem wyjaśnianie, że wszelkie nakłady i inwestycje, powodujące dopływ cudzoziemców do Polski i rentujące się (choćby w znacznej części) z dochodów pozostawianych w Polsce przez turystę zagranicznego — uznać należy za całkowicie zgodne z naszą polityką gospodarczą. Wobec pewnej—choć nie nadmiernie bliskiej—łączności materialnej urządzeń przeznaczonych dla turystów zagranicznych i krajowych, — należy również uznawać za celowe te nakłady i inwestycje, które wykazują możliwie największą łączność pod tym względem. Przyzwoity hotel, stanowiący rzadkość na niektórych terenach specjalnie ponętnych dla turysty - cudzoziemca (kresy wschodnie), — będzie niewątpliwie wykorzystany także przez bardziej zamożnych turystów krajowych, co pozwoli na lepsze wykorzystanie zainwestowanych kapitałów. Dziś, mimo dużego zainteresowania turystyką w Polsce, brak jeszcze wielu urządzeń, które by wspólnie mogły służyć dla rozwoju turystyki zagranicznej w naszym kraju i dla pożytku nas samych. Bagna i lasy poleskie zdobędą sobie dopiero wówczas wielbicieli w Europie, gdy będzie je można niemal z samochodu oglądać — bez narażania jadącego na wstrząs mózgu, lub maszyny — na „rozgruchotanie".

Całkiem różnie od „importu" turystów cudzoziemskich przedstawia się znaczenie gospodarcze turystyki uprawianej w kraju przez jego mieszkańców. Przede wszystkim nie celowe jest popierać turystykę jako środek ożywienia procesów ekonomicznych — gdyż, jeśli jesteśmy zwolennikami ożywienia — to posłużyć się możemy środkami wielokrotnie bardziej skutecznymi i strukturalnie bądź koniunkturalnie bardziej uzasadnionymi. Ale to uwaga na marginesie polityki gospodarczej, cóż jednak reprezentuje wzrost turystyki wśród mieszkańców kraju dla życia ekonomicznego?

Wyobraźmy sobie, że Pan Igrekowski znęcony pięknymi plakietami, artykułami prasowymi, audycjami radiowemi i wszelkiemi innemi formami propagandy działającemi zachęcająco nie tylko na wzrok, ale i na kieszeń... rozwija w sobie „potrzebę turystyki" i ostatecznie pewnej soboty wyjeżdża na week-end nad jeziora kujawskie, dokąd właśnie wezwał go zbiorowy głos reklamy turystycznej. Kupuje zatem ów pan ulgowy bilet kolejowy tam i z powrotem, daje zarobić miejscowym autobusom, zjada kolacje, płaci za nocleg w pensjonacie, potem za utrzymanie, wreszcie nabywa kilka drobnych pamiątek, wynagradza przewodnika — w ogólnej sumie wydatkuje np. zł. 40, wzamian za które otrzymał *świadczenie natury prawie wyłącznie konsumcyjnej.* Gdyby dość kosztowna zresztą propaganda nie pouczyła Pana Igrekowskiego o potrzebie wyjazdu nad jeziora kujawskie, wówczas pozostałby on w Warszawie i albo wydał w całości, albo wydał tylko w części 40 zł, przeznaczone na wycieczkę week-endową. O ile 40 zł zostałyby całkowicie wydane — to, poza przesunięciami geograficznymi i branżowymi, nicby się nie zmieniło w porównaniu z wyjazdem na week-end, za wyjątkiem odcinka kosztów propagandy, które mogłyby nie istnieć skoro zdecydowaliśmy, że Pan Igrekowski i tysiące mu podobnych nie spędzą week-end'u nad jeziorami kujawskimi.

Jeżeli jednak Pan Igrekowski nie wydałby podczas spędzanego w stolicy week-end'u zł 40, ale np. zł. 20 tylko, a pozostałe zł. 20 gdyby złożył do banku lub zakupił za nie towar dla swego przedsiębiorstwa, — to taki obrót spraw byłby niewątpliwie korzystniejszy (strukturalnie) dla polskiego gospodarstwa, niż wyjazd Pana Igrekowskiego nad jeziora kujawskie. Przypominamy, że poza 20 zł. — gospodarstwo zyskałoby jeszcze może 1 — 2 zł. wobec nieistnienia kosztów propagandy turystycznej. Tysiąc warszawiaków oszczędzających 22.000 zł. umożliwiłoby powstanie nowego przedsiębiorstwa przemysłowego, którego znaczenie byłoby napewno donioślejsze od aktywności 10 zawodowych przewodników, 1 pensjonatu, od płatnego zużycia taboru kolejowego na 2000 przejazdów i t. p.

Przy rozstrzyganiu tego rodzaju zagadnień decydować musi kryterium powszechnie obowiązujące lub które powszechnie obowiązywać powinno w kraju ubogim w kapitały. Kryterium tym jest celowość tworzenia ośrodków produkcji pod jakąkolwiek bądź postacią (np. drogi) oraz niecelowość popierania definitywnie konsumcyjnego obrotu gospodarczego, jaki właśnie w dużej mierze stwarza turystyka uprawiana w kraju przez jego mieszkańców.

Umiejętne stosowanie takiego kryterium nie może w niczem naruszyć ekonomicznych podstaw ustroju, w którym gospodarujemy. Dla tego też nie byłoby wskazane zbyt kategoryczne przeciwstawianie się propagandzie tych lub innych wydatków konsumcyjnych prywatno - gospodarczych, o ile należałoby przypuszczać, że nie wpłynie to na decyzję wydatkujących w kierunku zużycia dochodów na cele kapitalizacyjne. Zagadnienie powyższe bardzo mało niestety dyskutowane posiadać może kapitalne znaczenie dla właściwego rozwoju polskiej gospodarki narodowej. Ale nawet całkowite nieprzeciwdziałanie ze strony czynników publicznych propagandzie konsumcyjnej—nie oznacza, aby było celowe wydatkowanie pieniędzy podatkowych na propagandę turystyki. Jeżeli bowiem Państwo może mieć względy rozliczne aby nie wydać zakazu nierentownej, z punktu widzenia gospodarki narodowej, propagandy, uprawianej przez firmy prywatne, to jednak niedopuszczalne ekonomicznie jest organizowanie takiej właśnie propagandy za pieniądze publiczne.

Toż samo co o propagandzie należy powiedzieć o inwestycjach krótko lub długoterminowych, do których uskuteczniania zachęca propaganda turystyki. Nie ma powodu do przypuszczeń, że kapitały inwestowane w urządzeniach rentujących dzięki rozwoju-

wi ruchu turystycznego okazałyby się nierentowne w innych przedsiębiorstwach. Przecież właśnie propaganda *stwarza* w dużej mierze rentowność urządzeń turystycznych, mogłaby zatem stworzyć także rentowność i dla niektórych innych inwestycyj.

Uświadomienie sobie właściwego charakteru ekonomicznego turystyki krajowej prowadzi z przytoczonych względów do wniosku, że fundusze publiczne powinnyby być obracane wyłącznie na propagandę walorów turystycznych Polski za granicą, a udział ich w propagandzie krajowej i inwestycjach dla turystów polskich powinien być ograniczony do urządzeń, których rentowność ze względów gospodarczych należałoby oprzeć na wspólnym użytkowaniu turystów polskich i zagranicznych.

Mogą co prawda także istnieć zupełnie specjalne powody propagowania turystyki w odniesieniu do pewnych dzielnic lub nawet całego kraju. Powody takie w zakresie gospodarczym można streścić w jednym lapidarnym określeniu: „w krajaniu bochenka chleba". Wówczas jednak propaganda turystyki na rzecz określonych dzielnic kraju powinna być wyznaczona nie przez upodobania, wartości miejscowe, nepotyzm lub przypadek, lecz na skutek stwierdzonej ekonomicznie potrzeby uprzywilejowania turystycznego tych dzielnic. O takim jednak podejściu do turystyki, które mogłoby mieć rację bytu na tle odpowiedniej ogólnej polityki gospodarczej — nie czyta się ani się słyszy w rozważaniach.. „turystyczno - ekonomicznych".

Wypowiadana jest niekiedy uwaga, że rozwój turystyki krajowej mieszkańców Polski może dzięki propagandzie stać się surogatem turystyki zagranicznej i w konsekwencji wzmocnić nasz bilans płatniczy. Są to zapewne reminiscencje z epoki przedwojennej! Od bardzo wielu lat czuwa w Polsce nad wyjazdami zagranicę polityka paszportowa, a ostatnio także i polityka dewizowa. Nasza polityka paszportowa jest zapewne — jedną z najbardziej surowych względem przeciętnego obywatela. Niestety do niedawna i do chwili wprowadzenia ograniczeń dewizowych faworyzowała ona uskutecznianie wielkich wydatków zagranicą, co jednak nie pozwala na przypuszczenie, aby ci, którzy te wydatki czynili, zostali zachęceni do turystyki krajowej nawet najbardziej umiejętną propagandą. Ograniczenia dewizowe okazały się napewno tańsze i skuteczniejsze...

Nie negujemy względów pozagospodarczych, jakie mogą przyświecać działalności państwa na polu turystyki. Względy te szczególnie w Polsce przedstawiają dużą wagę gatunkową, ale wówczas nie tylko zbędne jest formułowanie nieuzasadnionych argumentów ekonomicznych, lecz należy także konsekwentnie przeprowadzać cel pozagospodarczy. Choć w chwili obecnej poczynania turystyczne państwa, samorządów i innych organów publicznych lub opartych na dochodach publicznych nie przedstawiają stosunkowo doniosłości nadmiernie wielkiej, jednak coraz wyraźniej rysująca się poprawa koniunktury pobudzić może (podobnie jak to już miało miejsce ubiegłej zimy...) większą niż dotychczas aktywność publiczną na tym odcinku. W interesie prawidłowego rozwoju polskiego organizmu gospodarczego należy sobie życzyć, aby aktywność ta nie czerpała natchnienia z dotychczasowych zbyt ogólnikowych i dla tego nieścisłych poglądów na kwestię ekonomicznego znaczenia turystyki krajowej.

NOTATKI

„CZAS" ROBI SWOJE

Nigdy nie znajdowałem się w tak skomplikowanej sytuacji, jak w chwili obecnej, zasiadając do napisania paru słów w związku z artykułem „Czasu" z dnia 27 listopada b. r. p .t. „Rekapitulacja". Bo proszę zważyć: „zaczepiona" tam została „Gospodarka Narodowa". której jestem redaktorem; z wywodów „Czasu" można domyślić się, że chodzi o artykuł, którego jestem autorem; cytaty użyte „do pognębienia wroga" są jednak wzięte z różnych artykułów „Gazety Polskiej" i „Kurjera Porannego"; wnioski zaś zostały zrobione w odniesieniu do całego zespołu redakcyjnego „Gospodarki Narodowej".

Nieuświadomiony czytelnik powie zapewne, że jest to skończony galimatias i może nawet pomyśleć coś niepochlebnego o zdolnościach autora „Rekapitulacji". Ale to będzie błąd, bo trzeba wiedzieć o co chodzi. Moja skromna osoba p. p. konserwatystów ani ziębi, ani grzeje; mój artykuł też; dlatego mego nazwiska nie wymienia się. Artykuł mój ma charakter ogólny, socjologiczny, reformy rolnej nie dotyczy, więc potrzebnych cytat tam nie ma. Wymienić moje nazwisko, nawymyślać mi, byłaby to dla „Czasu" przyjemność czysto platoniczna, bez żadnego interesu. Ale w zespole redakcyjnym „Gospodarki Narodowej" są nazwiska, do których stosunek „Czasu" nie jest platoniczny. Wymienić je z powodu mego artykułu byłoby oczywiście nonsensem — wobec tego „Czas" wymienia cały zespół. Potrzebne cytaty zbiera się z innych pism, coś niecoś fabrykuje się bez cudzysłowów. I tą drogą, tym całym arsenałem pocisków trafia się w końcu w pewnego ministra. A o niego się właśnie „rozchodzi". (Rzecz inna, że szlachecko-myśliwskie talenty „Czasu" sprawiły, iż strzał wymierzony w jedną osobę trafił jednocześnie w dwie inne: premiera i wice-premiera, którzy w międzyczasie z siłą podkreślili solidarność całego Rządu w sprawie reformy rolnej).

Bardzo zawiłe i sprytne — prawda? Czytelnik rasista może przypuścić, a nawet wyrazić pewność, że to nie aryjska głowa wykombinowała, ale jakieś żydowskie kiepełe. Ja jednak nie jestem rasistą i nie mam żadnego kompleksu niższości narodowej w zakresie umysłowych zdolności, więc przyjmuję elukubracje „Czasu" za stuprocentowo czysty pod względem rasowym wytwór ducha starej, wyrafinowanej kultury szlacheckiej, trochę może odświeżonej dopływem t. zw. plebejskiej krwi.

Zapewne wywód powyższy jest niepoważny, ale rzecz w tem, że argumentacja „Czasu" jest z punktu

widzenia krytyki intelektualnej niepoważna. Bo czyż można poważnie traktować podane w formie dogmatów twierdzenia, że bilans skutków reformy rolnej przyniesie niewątpliwie szkodę gospodarstwu narodowemu, że tak należy oceniać tę reformę ze stanowiska interesów zbiorowości narodowej bez tępoty i złej woli, że nikomu ze zwolenników reformy nie przyświecają cele pozytywne a tylko cel negatywny— zniszczenie stanu ziemiańskiego. Takie są te próbki myślenia niewyzutego z dogmatów, które różne masony i bolszewiki chcą zniszczyć.

A jakie skargi na rzeczywistość? Płacą podobno podatki (wbrew tradycjom przeszłości, chociaż sądząc z enuncjacji premiera nie jest tak źle z zachowywaniem tej tradycji), „opłątani są umowami zbiorowemi", ustawodawstwem pracy, przepisami sanitarnymi, a przecież to wszystko nie obowiązuje drobnego rolnictwa! Że chłop nie ma z kim zawierać umowy zbiorowej, to głupstwo. Ponieważ nie zawiera, to dzieje się folwarkom krzywda.

Reforma rolna jest wykonywana na zasadzie ustawy? Nie ma znaczenia! To są „pozory praworządności", „prawa wyjątkowe" „urągające równości obywatelskiej" i „zasadom hierarchicznym" równocześnie. To też jest sztuką pogodzić ze sobą takie dwie sprzeczności, ale czego ci, panie dzieju, bolszewiki i masony nie potrafią!

Czyż doprawdy nie stać Polski na lepszych konserwatystów? Przecież konserwatyści to zwykle ludzie oświeceni o wykształceniu historycznym. No, ale dla naszych konserwatystów historia kwestii agrarnej w Polsce to niebezpieczny grunt.

Spójrzmy prawdzie w oczy: to nie jest sprawa gardłowa, sprawa o byt żywiołu ziemiańskiego. To jest sprawa kieszeniowa.

Jak wiadomo, proces parcelacyjny jest procesem żywiołowym — bez jakiejkolwiek ustawy odbywał się i musiałby się nadal odbywać. To też konserwatystom nie chodzi o to, żeby nie parcelować, tylko o to, żeby robić to prywatnie, „bez naganki planów parcelacyjnych i wykazów imiennych, bo wtedy można chłopa nabywcę wyżyłować do ostatka (solidaryzm społeczny). I dlatego stosuje się takie brzydkie metody, dlatego insynuuje się „Gospodarce Narodowej" dążenia do „wielkich starć", do zniszczenia rodziny, do wywoływania walk klasowych wewnątrz włościaństwa, dlatego stawia się cudzysłowy, stwarzając pozory, że to było pisane w „Gospodarce Narodowej". Jakiż w tej metodzie tkwi duch umiarkowania, jak się manifestuje chrześcijańskie sumienie i poczucie obowiązku obywatelskiego (obywatela ziemskiego?). Gdybyż przynajmniej istotnie były szanse, że stosowanie niewybrednych metod polemicznych zdoła powstrzymać nieunikniony proces historyczny.

Niektórych boli, że tym procesem dzisiaj kieruje szlachcic ze starego rodu, ja jednak sądzę, że tem lepiej dla szlachty, bo w ten sposób odbywa się jakby jej ekspiacja za grzechy popełnione w przeszłości wobec Narodu. Ponieważ osób szlacheckiego pochodzenia jest w Polsce według Olgierda Górki około 5 milionów, a rodzin ziemiańskich 17 tysięcy, to zainteresowanych w ekspiacji jest grubo więcej niż opornych. A liberum veto dawno nie obowiązuje, więc choć „Czas" robi swoje, to czas też zrobi swoje.

Zygmunt Szempliński.

URZĘDOWE ZAPALNICZKI

Historia z zapalniczkami jest popularnym skandalem urzędowym, tem przykrzejszym, że bardzo już długotrwałym i stwierdzonym jako taki (t. j. jako skandal) przez wysokie instancje z parlamentem łącznie. Jak wiadomo, posiadanie niestemplowanej zapalniczki jest przestępstwem, którego dopuszczają się stale i bezkarnie co najmniej setki tysięcy obywateli, przy czem przepisy prawne i proceduralne są skonstruowane tak zręcznie, że niemożliwe jest postępowanie legalne. Najprzykszejsze w tej sprawie jest, że ciągnie się ona już od lat. Zachodzi tu b. typowy przejaw t. zw. „impotencji urzędowej": nikt nie ma wątpliwości co i jak trzeba zrobić, lecz nikt nie zdobywa się na skuteczną akcję zrobienia tego, co należy.

Powracamy do tej starożytnej już niestety historii, bowiem ostatnio ukazały się w prasie płatne artykuliki, niewątpliwie pochodzące ze „sfer miarodajnych" i będące czemś w rodzaju zapowiedzi, że już w najbliższym czasie skandal się skończy.

„Aż się znajdzie jakiś Wandal i zakończy raz ten skandal" — mówi wieszcz narodowy. Istotnie—opierając się na brzmieniu owych płatnych przejawów opinii publicznej — ktoś „miarodajny" zamierza się dorwać do rzeczy zgoła po wandalsku. Mamy mieć obecnie jednolity *urzędowy typ zapalniczki.* Projektodawcy widzą w tem mnóstwo korzyści. Nikt się nie będzie musiał zastanawiać jaką zapalniczkę kupić, bo będzie jedna i najlepsza: urzędowa. Urzędowa zapalniczka da się z daleka odróżnić, a więc jej posiadacz będzie pewny, że nikt—widząc zapalniczkę w jego ręku — nie posądzi go o przestępstwo. No i ostatni argument: w ten sposób rzecz będzie *radykalnie rozwikłana.*

Urzędowy Wandal nie wie, że właśnie różnorodność typów towaru jest zachętą do zakupu, każdy lubi bowiem kupić sobie to, co mu się podoba, mniej ceniąc urzędowość zakupu; wiedzą o tem nasze monopole, umiejętnie i rozsądnie operując różnorodnemi odmianami papierosów, zapałek, butelek etc. — Przykro też, gdy się urzędowo stwierdza, iż teraz i na przyszłość z posiadaniem zapalniczki ma się łączyć domniemanie przestępstwa. — I, co najważniejsza, typ urzędowy sprawy wcale nie załatwi. Wprost tylko wzmoże atrakcyjność typów nieurzędowych i niestemplowanych zapalniczek, które nadal na każdym rogu ulicy będzie można nabywać.

Do zapalniczkowego skandalu — tego, który trwa obecnie — jużeśmy się przyzwyczaili. Traktuje się go pobłażliwie i humorystycznie, coraz mniej uprzytamniając sobie, że przedmiotem tej humorystyki jest — bądź co bądź — poszanowanie prawa i sprawność władz. Teraz mamy zyskać nową podnietę do tych przykrych i szkodliwych nastrojów. — Nie orientujemy się ściśle jaki to urząd czy instytucja jest odpowiedzialna za zapalniczkową polityką i praktykę. Gdziekolwiek jednak ta władza zasiada — jest coraz pewniejsze że siedzi tam i „myśli" ktoś o dowcipie i sprawności zepsutej zapalniczki. Koniecznie powinien tam „ktoś kogoś w coś" w kierunku na schody; jeżeli wchodzi w grę emerytura, możnaby zorganizować zbiórkę wśród wdzięcznych posiadaczy zapalniczek i napewno łatwo i chętnie, drobnymi datkami,

zgromadzona zostałaby suma zupełnie poważna. — Traktując zaś rzecz poważnie — doprawdy czas już zlikwidować ten chroniczny skandal, drobny w swej istocie, a nieproporcjonalnie silnie naruszający w społeczeństwie szacunek dla prawa i zaufanie do administracji.

j. w.

CZY TO NACJONALIZM?

Momenty natury narodowej odgrywają w życiu gospodarczym dużą rolę, chociaż klasyczny homo oeconomicus zawzięcie milczał o tego rodzaju motywach swych dążeń. Nie potrzebował zresztą o tym mówić, mógł to traktować jako swą sprawę intymną i nie naruszającą jego czysto gospodarczych kalkulacyj, gdyż w warunkach atomistycznego rozproszkowania, cechującego ustrój liberalny, kwestie te były ostotnie sprawą wyłącznie indywidualną, chociaż w rezultacie składającą się na pewną sumę, jak np. ekspansja kolonialna Anglików.

Dziś panuje gospodarka związana i działalność gospodarcza wielkich zrzeszeń kapitałów już przez samą swą wielkość nabiera charakteru fragmentu działalności państwowej czy ekspansji narodowej. Dotyczy to każdego wielkiego przedsiębiorstwa, które nie jest w gospodarstwie narodowym małym atomem, niedostrzeganym gołym okiem. Ten stan rzeczy znajduje w umysłach ludzkich swe odzwierciadlenie w postaci nacjonalizmu gospodarczego, w świadomości traktowania działalności gospodarczej jako wyraz ducha i interesów pewnej narodowej całości.

Wyrazem polskiej świadomości narodowej w tej dziedzinie były długoletnie dążenia szerokiej opinii społecznej i władz państwowych w kierunku spolszczenia przemysłu na Górnym Śląsku. Sprawa była traktowana dostatecznie szeroko: chodziło nie tylko o tytuł własności i o ogólną dyspozycję gospodarczą ale również i objęcie wszystkich technicznych procesów wytwarzania. Jest bowiem rzeczą bardzo ważną aby w walce z przyrodą o środki egzystencji naród był całkowicie samodzielny, aby umiał wszystko zrobić sam w najbardziej skomplikowanych technicznie dziedzinach wytwórczości. Jest to również bardzo ważne jeśli chodzi o walkę między narodami o miejsce pod słońcem, bo trudno, taki jest ten świat, że bez walki ostać się na nim nie można. Wreszcie sporą rolę odgrywa kwestia ambicji narodowej, kwestia twórczego instynktu.

Zostało w tej dziedzinie zrobione sporo. Na przykład większa część hutnictwa jest już w polskiej dyspozycji. Ale równocześnie dzieje się coś, co jest i bardzo przykre i bardzo niebezpieczne. Bo oto dowiadujemy się z oświadczenia jednego z przywódców robotniczych związków zawodowych, p. Stańczyka, że młodzi polscy inżynierowie na Śląsku swym zachowaniem się i swemi metodami kierowania pracą wybitnie zrażają sobie tamtejszych robotników.

Rzecz nie jest w porządku, jest szkodliwa politycznie i gospodarczo, bo wiadomą jest rzeczą, że praca zbiorowa, a taką jest przecież wszelka praca w przemyśle, daje tem lepsze wyniki, im bardziej cały pracujący zespół od najniższego do najwyższego stopnia hierarchicznego jest jednym przesiąknięty duchem. Nie jest też w porządku, jeśli chodzi o treść umysłowości tego młodego pokolenia polskich inżynierów, pokolenia, które przecież tak mocno akcentuje swą ideologię narodową. Wiadomo bowiem, że chłop i robotnik na Śląsku przez wieki przechował swą polskość, podczas gdy inne warstwy uległy wynarodowieniu. Fakt ten w każdym szczerym nacjonaliście powinien wywoływać sympatię i to nie platoniczną, dla tego robotnika i chłopa. Bo rozumiem jeszcze, gdy przedstawiciel sfer konserwatywno-ziemiańskich przyznaje się, że go ta robotniczość i chłopskość Śląska razi, że sama tylko polskość mu nie wystarcza, jak dał temu wyraz korespondent „Czasu" w swych refleksjach o zjeździe prawniczym w Katowicach. Ale nacjonalista czujący w tenże sposób będzie wewnętrznie ze sobą nie w porządku.

Powtarzam, że kwestia ta jest niezmiernie ważna z punktu widzenia zbiorowych interesów narodowo-gospodarczych. Nacjonalizm może być siłą twórczą, jeśli obejmie dążenia społeczne szerszych mas, jeśli hasła sprawiedliwości społecznej będzie traktował szczerze i stosował je w praktyce. Inaczej będzie tylko reakcją społeczną, wyrazicielem egoistycznych, przy tem i tak niczle prosperujących interesów wąskich grup społecznych. Kwestia stosunku inżyniera do robotnika warta jest uwzględnienia w ideologii młodego polskiego nacjonalizmu w stopniu o wiele szerszym, niż sprawa sadzania żydów na osobnych ławkach, tak dziś absorbująca umysły i uczucia uczącej się młodzieży.

r. s.

KSIĄŻECZKI OSZCZĘDNOŚCIOWO-UBEZPIECZENIOWE

Wkłady oszczędnościowe są, jak powszechnie wiadomo, oprocentowane. Jednak nawet przy *wysokiej* stosunkowo *stopie* oprocentowania *bezwzględna* wartość odsetek dla drobnego ciułacza jest zwykle minimalna. Odsetki od drobnego, typowego zresztą wkładu oszczędnościowego to drobne grosze nie przedstawiające dla ciułacza większej wartości, grosze te nie mogą stanowić silnej zachęty, do *utrwalenia* i powiększenia wkładu.

Można jednak odsetki bieżące od wkładów zastąpić inną bardziej atrakcyjną formą oprocentowania, taką, która się wyraźnie przyczyni do utrwalania wkładów. Można np. odsetki należne pewnej grupie oszczędzających scalać w jedną masę i z niej losować znaczne premie (książeczki premiowane). Można też zastosować koncepcję inną, społecznie bardziej korzystną: odsetki od wkładu oszczędnościowego traktuje się jako składkę ubezpieczeniową za ubezpieczenie pośmiertne ew. mieszane (tj. ubezpieczenie na wypadek dożycia z góry ustalonego terminu i na wypadek przedwczesnej śmierci). W razie zajścia wypadku losowego objętego ubezpieczeniem instytucja zwraca wkład oszczędnościowy i ponadto wypłaca dodatkowy kapitał, mianowicie sumę ubezpieczoną za odsetki od wkładu.

Wspomniana forma ubezpieczenia byłaby niewątpliwie chętnie widziana przez wkładców: wzamian za rezygnację ze zwykłych odsetek nie przedstawiających większej wartości, oszczędzający uzyskuje ochronę ubezpieczeniową na sumę w stosunku do wkładu dość znaczną — jest to wyraźnie korzystna dla ciułacza zmiana. W porównaniu do klasycznej formy ubezpieczenia na życie (dającej, trzeba to przyznać, za daną sumę wpłat ochronę ubezpieczeniową na sumę znacznie wyższą niż forma omawiana) książeczka oszczędnościowo - ubezpieczeniowa będzie miała tę wyższość, że pozwalać będzie na wycofanie w każdej chwili całości kwot wpłaconych (przy b. krótkim stosunkowo terminie wypowiedzenia) — rzecz w klasycznym ubezpieczeniu na życie za składkę periodyczną niemożliwa. Ponieważ zwykłe książeczki oszczędnościowe, jak również książeczki premiowane są emitowane bez pośrednictwa agentów, należy przypuszczać, że książeczki oszczędnościowo - ubezpieczeniowe mogłyby być emitowane w ten sam sposób tj. z ominięciem kosztownego pośrednictwa zawodowego.

Nie ma powodu przypuszczać, że omawiana kombinacja znaleźć by mogła zastosowanie tylko w zakładach ubezpieczeń o charakterze przedsiębiorstw. Sądzić raczej należy, że tą kombinacją mogłyby się zainteresować również niektóre pracownicze kasy ubezpieczeniowe.

Omawiana wyżej i niewątpliwie przydatna z punktu widzenia potrzeb oszczędnictwa polskiego forma ubezpieczenia na życie została, w latach ostatnich praktycznie wypróbowana w Niemczech.

H. Greniewski.

W numerze 22 „Gospodarki Narodowej” z dnia 15 listopada b. r. zamieściliśmy notatkę p. t. „Polityka Gospodarcza” czy... interes polityczny”, polemizującą z artykułem „Polityki Gospodarczej” na temat traktatu handlowego z Niemcami.

W notatce tej obok zarzutów merytorycznych znalazły się niestety zarzuty natury osobistej, co oczywiście nie odpowiada zwyczajom publicystycznym „Gospodarki Narodowej”, a wynikło jedynie z błędnych informacyj autora co do związków dwutygodnika „Polityka Gospodarcza” z grupami pewnych interesów przemysłowych, oraz z przeoczenia redaktora, który powyższych błędów nie zauważył i nie skorygował.

NOŻYCE

Rolnik, sprzedający do miasta zboże w ziarnie, żywego wieprzka, mleko lub jaja, skarży się, że za swoje towary otrzymuje b. niską cenę, gdy zaś zjawi się w tym samym mieście i zechce nabyć czy to chleba, czy to słoninę, musi za te artykuły zapłacić ceny b. wysokie, nieproporcjonalnie duże w stosunku do cen, uzyskiwanych przezeń za płody gospodarstwa rolnego.

Twierdzenie to jest zgodne z prawdą, wymaga jednak objaśnienia. Jest rzeczą naturalną, że każde, nawet najtańsze, pośrednictwo kosztuje. Kupiec musi przewieźć towar od producenta do sklepu, musi ponieść koszty posortowania i opakowania towaru, musi zapłacić komorne za sklep czy składnicę, musi uiścić należne podatki; wszystko to, razem wzięte sprawia, że konsument płaci za dany artykuł (nawet nie podlegający przeróbce, jak np. ziemniaki lub jaja) drożej, aniżeli producent otrzymał od kupca. Nie należy ponadto zapominać, że zadaniem kupca jest zbieranie towaru, zaofiarowanego do sprzedaży przez różnych producentów w różnych i — jeśli chodzi o artykuły rolnicze — nader licznych miejscowościach, co stwarza dodatkowe koszty skupu i przewozu. Trzeba wreszcie pamiętać, że im mniejsza wartość i cena jakiegoś towaru, tem większy odsetek tej ceny pochłaniają koszty pośrednictwa; sprzedaż 1 centnara pszenicy kosztuje to samo, co 1 ctn. żyta, a przecież żyto jest o $1/3$ tańsze od pszenicy.

Zmniejszenie rozpiętości pomiędzy ceną, płaconą przez konsumenta, a ceną otrzymywaną przez wytwórcę, jest zadaniem planowej polityki gospodarczej na odcinku handlu wewnętrznego, że ta polityka jest stopniowo realizowana i że poprawa ogólnej koniunktury gospodarczej sprzyja zamykaniu się „nożyc” między wsią a miastem, świadczy fakt następujący. Jeżeli przyjmiemy, że cena danego artykułu w handlu detalicznym (w m. Poznaniu) wynosi 100, to cena, otrzymywana przez rolnika (na terenie woj. Poznańskiego) wyniesie: dla pszenicy w odsetkach ceny mąki pszennej — 62 (1935 r.) i 75 (1936 r.), dla żyta i chleba żytniego — 43 i 49, dla jęczmienia i kaszy jęczmiennej — 62 i 74, dla wieprza i mięsa wieprzowego — 68 i 79, dla ziemniaków — 44 i 52, dla mleka — 52 i 60, wreszcie dla jaj — 73 i 76. Porównanie tych dwóch lat (ściślej — pierwszych 3 kwartałów każdego roku) świadczy, że udział rolnika w cenie, płaconej przez spożywcę, wyraźnie wzrósł w ostatnim roku i że będzie on wzrastał w miarę dalszej poprawy koniunktury.

z. i.

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, ul. Nowy-Świat 37 m. 15

Telefon Nr. 6.76-73

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.